

O rozdzieleniu polskiej jaźni

My po prostu sami nie wiemy, czego chcielibyśmy od Niemiec. Kiedy na wschodzie wybucha wojna, a z Niemiec dochodzą tragikomiczne wieści, to w Polsce media kpią sobie z niemieckiego państwa i armii, a politycy patetycznie nawołują Berlin, aby porzucił w końcu lewacko-pacyfistyczne przesady. Ale kiedy powraca Trump, i w końcu naprawdę wymusza na Niemczech to, czegośmy wcześniej od nich żądali, to polscy politycy roztaczają przed nami przeraźliwą wizję „remilitaryzacji” Niemiec, strasznej potęgi Rheinmetallu, oraz złowrogiej nowej niemieckiej prawicy.

Na łamach kilku polskich gazet premier Mateusz Morawiecki podejmuje szarżę przeciw wzrostowi niemieckich wydatków na zbrojenia. Były szef rządu kreśli udramatyzowaną wizję trwającej ponoć gwałtownej „remilitaryzacji Niemiec”, lokując ją na tle rysującego się „flirtu z politycznym radykalizmem”, jaki podjął niemiecki przemysł zbrojeniowy. Oba te procesy prowadzą Morawieckiego do wniosku o „niepokojącej paraleli z początkiem lat 30. XX wieku”, czyli krótko mówiąc – z dojściem Hitlera do władzy, tyle, że tym razem w stare role wcielają się nowi aktorzy. W rolach Hindenburga i von Papena obsadzeni zostają minister Pistorius i kanclerz Merz, którzy forsują program „remilitaryzacji”, w roli Gustava i Alfrieda Kruppa – koncern Rheinmetall, stojący na czele rosnącego w siłę lobby zbrojeniowego, no a paralelę do ówczesnego lidera nazistów ma być prąca do władzy liderka AfD Alice Weidel. Ta ostatnia bowiem zmierza

– zdaniem Morawieckiego – do tego, aby: „zakwestionować filary dotychczasowej polityki Berlina”, m.in. wobec NATO i Unii Europejskiej.

Na poziomie politycznych realiów wszystko w zasadzie w tym opisie jest przejawem egzaltacji i przesady autora. A zestawianie współczesnej niemieckiej polityki z katastrofą polityczną Niemiec 1933 roku jest niestety (proszę wybaczyć Panie Premierze) typową oznaką kiepskiej publicystyki. Faktograficzna polemika z opisem Morawieckiego byłaby zadaniem prostym, ale mnie akurat o taką polemikę nie chodzi, tylko o rzecz o wiele donioślejszą. Niezależnie bowiem od znanych faktów, jak to, że armia niemiecka jest w rozkładzie, że inaczej niż w Polsce młodzież nie zamierza tam iść do wojska, że Rheinmetall zasłynął z niewydolności przy okazji dostaw na Ukrainę, zaś AfD wraz z komunistami gra na pacyfistycznych nastrojach przeciw rządowi Merza – to w jednym racja Morawieckiego jest bezsporna. Merz i Pistorius faktycznie wzięli sobie na ambicję wydobyć Niemiec z głębokiej zapaści zdolności obronnych kraju i rysują teraz ambitny program przełamania dotychczasowej impotencji. Czy się im to uda, to całkiem inna sprawa, bo zarówno silna w Niemczech radykalna lewica, jak i nowa prawica pani Weidel będą ów program twardo zwalczać. Ale mnie interesuje raczej to, czy były polski premier, który w przeszłości tylekroć piętnował ową militarną impotencję Niemiec, wtedy właśnie poprawnie definiował polskie interesy względem zachodniego sąsiada? Czy też czyni to teraz, gdy radykalnie zmienił zdanie, i nawołuje nawet do tego, byśmy owej groźnej „remilitaryzacji” Niemiec „nie przyjmowali z kronikarskim stoicyzmem”? Czyli sugeruje, że Polska ma się jakoś przeciwstawić niemieckim zbrojeniom. Jak? Tego autor oczywiście nie mówi.

Przeczytaj również: Jan Henryk Dąbrowski. Idiom polskości (TPCT 487)

Pamiętam dobrze kolegę Morawieckiego z rządu – ministra Waszczykowskiego, który swego czasu pokpiwał sobie na łamach „Bilda” z niemieckiego pacyfizmu, jako „dyktatury wegan i rowerzystów”, co wzbudziło zresztą nieprzyjazny rezonans w niemieckich środowiskach lewicowo-zielonych. Pamiętam też samego Morawieckiego, naonczas urzędującego szefa rządu, który po wybuchu wojny na wschodzie z patosem nawoływał Berlin: „Czego jeszcze potrzebują Niemcy, by przejrzeć na oczy i zacząć działać na miarę potencjału państwa niemieckiego?” Szło wtedy o szybką produkcję broni i amunicji oraz dostawy na front wschodni. Albo z jeszcze wcześniejszego czasu, gdy w niemieckiej prasie z uprzejmością wobec gospodarzy mówił, iż: „nie chciałby nazywać Niemiec pasożytem, tym niemniej ich nakłady na armię nie odpowiadają zobowiązaniom”. W moim przekonaniu to, że Morawiecki zmienił zdanie, nie jest problemem, bo w polityce rzeczą najgorszą jest uporczywe trzymanie się – wbrew faktom – raz wypowiedzianych opinii, tylko dlatego, że się je kiedyś wypowiedziało.

Problemem jest natomiast owo rozdwojenie jaźni co do tego, jakie Niemcy byłyby dla nas lepsze i w jakim kierunku winniśmy wpływać na niemiecką politykę. Bo to nie jest wcale jakiś szczególny przypadek Morawieckiego, ani nawet wyłączna cecha polskiej prawicy. Jest to prawdziwe i powszechne rozdwojenie polskiej narodowej jaźni, może tylko łatwiej obserwowalne na przykładzie polityków PiS-u. My po prostu sami nie wiemy, czego chcielibyśmy od Niemiec. Kiedy na wschodzie wybucha wojna, a z Niemiec dochodzą tragikomiczne wieści, a to że wszystkie czołgi wyprowadzone z hangarów na manewry

natychmiast się zepsuły, a to że w Bundeswerze grozi bunt, gdyż rząd nie jest w stanie zapewnić dostaw letniej bielizny żołnierzom, to w Polsce media kpią sobie z niemieckiego państwa i armii, a polscy politycy patetycznie nawołują Berlin, aby porzucił w końcu lewacko-pacyfistyczne przesady. Ale kiedy powraca Trump, i w końcu naprawdę wymusza na Niemczech to, czegośmy wcześniej od nich żądali, to polscy politycy roztaczają przed nami przeraźliwą wizję „remilitaryzacji” Niemiec, strasznej potęgi Rheinmetallu, oraz złowrogiej nowej niemieckiej prawicy. No a żeby to robiło mocniejsze wrażenie, to ów obraz przyprawiają rzekomą paralełą z rokiem 1933. A swoją drogą chętnie zapytałbym Morawieckiego, czy skoro tak piętnuje plan Merza zwiększenia wydatków na armię, to czy wystąpi również z takim samym potępieniem dla prawdziwego sprawcy owego planu, który wieloletnią presją i groźbami wymusił go na niemieckim rządzie, a teraz, uśmiechając się spod czerwonej czapeczki z daszkiem, chwali Berlin za okazane posłuszeństwo?

Co ciekawe, to rozdwojenie polskiej jaźni nie dotyczy bynajmniej tylko kwestii niemieckich zbrojeń. Identycznie przecież jest z polsko-niemieckim kłopotem migracyjno-granicznym. Póki przez lata było tak, że Niemcy bez szemrania brały do siebie azjatyckich i afrykańskich nielegalnych migrantów, idących przez Węgry i Austrię, albo Litwę i Polskę, nie tylko kpiliśmy sobie z naiwności owej „Willkommenspolitik”, ale obwinialiśmy Berlin, iż otwierając swoje granice zwiększa presję migracyjną na całą Europę i tworzy problem nie tylko dla siebie, ale i dla innych. Nasi politycy, zwłaszcza na polskiej prawicy, z autentyczną namiętnością domagali się, aby Berlin w końcu poszedł po rozum do głowy i zmienił wektor polityki. I choć Niemiec na początku bywa uparty, to jednak po jakimś czasie dochodzi doń prawda o rzeczywistości. Więc w Berlinie, odkąd nastał Merz, podejmuje się słaby jak dotąd, ale jednak wysiłek, aby kolejnych nielegalów idących z

Azji i Afryki w stronę Niemiec powstrzymać. No i wtedy się dopiero zaczęło. Polska złość na niemiecką politykę niemal eksplodowała, a bohaterami zasługującymi na „standing ovation” posłów i senatorów PiS zostali bojowcy, obwieszczający z patosem w polskim sejmie, iż właśnie odpierają na granicy „niemieckiego agresora”. Nawet ktoś tak ostatnio opieszawy, jak premier Tusk, został zmuszony do zamarkowania, iż on także patriotycznie broni granicy na Odrze i Nysie.

Przeczytaj również: Polska i Niemcy szkicują wspólną historię? Wywiad z prof. Kąkolewskim

I znów, nie chodzi o to, by sobie łatwo ironizować z emocjonalnej kampanii odpierania „niemieckiego agresora” na granicy, na której niemiecka policja, tak samo jak rok temu, zawraca średnio miesięcznie koło tysiąca nielegalów idących przez Polskę. Wiadomo, że to nie jakieś nadzwyczajne działania Berlina, ale polski kryzys wewnętrzny, zapowiadający rychły kres rządów Tuska, sprawił, że czynna obrona granicy na Odrze i Nysie stała się palącą koniecznością polityczną akurat teraz, a nie na przykład rok temu. W końcu przecież żyją jeszcze starzy jak ja ludzie, którzy pamiętają, jak niejaki Gomułka z pasją bronił owej granicy przed... prymasem Wyszyńskim i biskupami. Ale prawdziwy i poważny problem również tutaj tkwi w rozdwojeniu narodowej jaźni. No bo kiedy jest dla polskich interesów realnie lepiej: gdy Niemcy wpuszczają nielegalów w taki czy inny sposób przebijających się przez Polskę, czy też wtedy, gdy próbują ich (ciągle dość nieudolnie) nie wpuszczać, więc zawracają ich na naszą stronę? A może po prostu jest tak, że cokolwiek Niemcy zrobią ze swoją polityką migracyjną, to zawsze będzie to na naszą szkodę, po prostu dlatego, że są Niemcami?

Mogę otwarcie powiedzieć co sam uważam o tych polsko-niemieckich sprawach, choć przecież to, co ja uważam ma doprawdy nikłe znaczenie. Mimo wszystko wolę Niemcy zbrojące się, niżli pogrążające się w dekadentckim pacyfizmie i chętnie widziałbym wspólny niemiecko-polski program zbrojeń. I mimo wszystko wolę Niemcy broniące się przed kolejnymi falami migracji, niżli bezwolnie przypatrujące się ryzykownej dla Europy nowej „wędrówce ludów”. Ale dopuszczam – rzecz jasna – także alternatywne odpowiedzi na te dylematy. Rozumiem, jak ktoś do mnie mówi, że w nowożytnej historii co kilkadziesiąt lat Niemcy popadają w jakieś zbiorowe szaleństwo, więc lepiej, by nie byli największą potęgą militarną na kontynencie, tak na wszelki wypadek. Rozumiem również, jak ktoś inny do mnie mówi, iż skoro Niemcy zaczęli swego czasu zapraszać do siebie ludzi z Azji i Afryki, to niech ich sobie teraz dalej biorą, a nie kombinują, jakby tu poniewczasie chronić granice, sprawiając kłopot sąsiadom. Oba te poglądy wydają mi się gorzej odpowiadać polskiemu interesowi narodowemu w dzisiejszym czasie, ale ktoś może rozumieć ów interes odmiennie. Jeśli czegoś nie rozumiem i kategorycznie nie pochwalam, to tylko irracjonalnego stanu rozdwojenia polskiej narodowej jaźni względem Niemiec. Kiedy bowiem nie potrafimy sami definiować czytelnie swoich interesów i pogrywamy tylko emocjonalnie sprzecznymi żądaniami wobec Berlina, to prowadzimy politykę najgorszą z możliwych. Taką, która już nieraz w przeszłości niweczyła polskie plany i ambicje.

Jan Rokita

fot. Alex Kuhn / ArtService / Forum

Wszystkie felietony Jana Rokity „Z podbieszczadzkiej wsi”